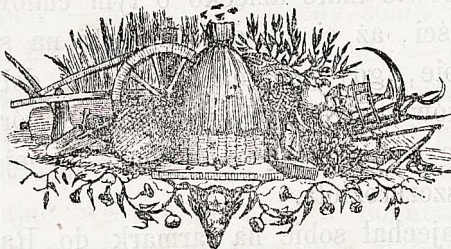




Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Matka boża i kupiec.

Niedaleko Sandomierza, ale w naszym polskim kraju Galicyi, gdzie to rzeka San wchodzi do Wisły, leży staropolskie miasteczko Radomyśl. Stoi ono sobie na piaskach między sosnowymi gajami, a mieszczanie tamtejsi są rzemieślnikami, najwięcej murarzami i rolnikami, ale wiedzą oni dokumentnie, że są prawdziwymi z ojca, dziada i pradziada Polakami, i ani im gadać co o Moskalach, boby cię na kwaśne jabłko zdusili, gdybyś im przygadywał, że oni patrzą na obcych czy Moskalów. Toteż są oni z dawien dawna pobożni, pracowici, sztudery i zarabiają sobie na kawałek chleba, ale z Bogiem i bez krzywdy niczyjej. Chodzą sobie po polsku w kapotach niebieskich, świecących butach, na głowie siwe czapy z jasnymi wstęgami, a w garści laska długa ze skówką mosiężną, a na wierzchu kapoty przepasany pas ze sprzączką świecąca na przodzie, i jakci się tak wywałą w święto na rynek, tobyś myślał że to pany wielkie, a nie mieszczany. Otoż jak kto zajedzie do Radomyśla, zobaczy tam na górze w łasku kościo-

łek nowo fundowany, ba! nie drewniany, ale całutki murowany. A gdy się spyta: co to za kościółek taki? kto to fundator jego? — toci opowie małe dziecko o tym cudownym kościółku wielkie ciekawości, aż ci się dobrze zrobi na sercu, a czasem i zapłaczesz sobie, gdy podumasz, jaka to dobra matka była i jest dla Polaków ta Najświętsza Panna, którą wszyscy Polacy obrali sobie za królowę i ukoronowali jej głowę świętą bogatą koroną szczerozłotą.

Otóż raz zajechał sobie na jarmark do Radomyśla jeden gazda od Rozwadowa, niejaki Maciej Sobuń, a gazda ci to pobożny i trzeźwy i roboczy, jak wół w pługu; on ci zawsze pierwaj pójdzie do kościoła zmówić pacierz, nim zacnie co na jarmarku sprzedawać albo kupować, i modli się aby mu Bóg dopomagał sprzedać lub kupić, a broń Boże! ocyganić lub skrzywdzić kogo, a po jarmarku odrachuje ci na wozie zaraz niejeden krajcar to dla Matki bożej, to dla dziadka, a nieraz zostawi za duszę nieboszczyków i na mszę świętą. On też zalazł ci zaraz do tego nowego kościółka, poszedł do ołtarza, gdzie jest Matka boża bolesna, potem do drugiego, gdzie Pan Jezus w Ogroju i znowu do jednego, który fundują chłopi na pamiątkę, jak to dał Bóg panom takiego dobrego ducha, że podarowali pańszczyznę na wieczne czasy. Pomodlił się do Boga i wychodząc zapytał zakrystyana:

— A kto to fundator tego kościoła? i na co to ten kościółek daleko od miasta, kiedy jest fara w samem mieście i tak samo nowa?

A zakrystyan powiada na to:

— Mój człowieku dobry, ten kościół to pamiątka dawna jeszcze z polskich królów — ba! ale jaki się tu stał cud, to rzadko gdzie natrafić na taki drugi.

Na to Sobuń gazda ciekawy pyta:

— I za jakiegoż to króla polskiego stał się tu cud?

A zakrystyan mu rzecze:

— To moi kochani powiadają starzy, działo się za jednego króla co to wojował ze Szwedami, a te niewiary zaleźli i do tego miasta i narobili dużo szkody ludziom, a niewinnie i niewiedzieć za co? Ten król zwał się pono Jan Kazimierz,

i został z xieżda królem, a Ojciec święty pozwolił mu się nawet ożenić. Ale ba! nie takie biedne było wtedy to miasto, jak po dziś dzień — bo co to? każdy sobie zarobił na flisie na rok więcej, jak dziś przez całe życie — jak ci sobie pojechał z wiosną po Wielkanocy ztąd do Warszawy i do Gdańska na tratwach drewnianych, to ci wrócił i przyniósł jak nie pół czapki karbowańców i mógł zaraz i bydło dobre kupić i zagon sobie nająć we dworze albo u bogacza jakiego, i co mu bieda zrobiła w zimie? A tędy szły ci tratwy jak w lecie bydło na pole. Otóż widzicie raz wioził sobie jakiś bogaty Polak tam aż od morza, bardzo dużo dębiny i sosniny, co sobie tu nakupił po lasach i miał ci coś do sta ludzi na wodzie; a tu ani zgadniesz gdzie cię co napadnie — i przyleciała ci naraz woda wielka z gór, jakby się drugie morze wylało z brzegów; tu ludzie stali na brzegu i łapali ośękami różności, aż tu naraz gwałtu, krzyk kto w Boga wierzy, niech ratuje, bo temu bogatemu Polakowi rozerwała woda na sztuki to jego drzewo, a ludzie biedni trzymali się rękami za drzewo i wołali: Ratujcie dla Boga! ratujcie nas! bo do jednego potoniemy! To też każdy łap cap co było w rękach i ratował, co jeno mógł, ale najgorzej było z tym bogatym Polakiem, co to zakupił to drzewo, bo to nieboraczysko nie umiało pływać i tylko na jednej grubej sośnie leżał i trzymał się rękami i nogami, a woda go nurzała i co chwila jeno utonąć; drugi śmiały do wody, to skoczył i przyplynał do brzegu, a ludzie mu podali rękę lub tykę albo powróz jaki i wyciągnęli jak rybę na brzeg, a z nim ani rady ani sposobu jakiego, a tu woda gnała jakby na koniu leciał.

A Sobuń gazda poderwał:

— No! i coż się też stało z tymi biedakami?

A zakrystyan mówi:

— A coby innego jak nie cud Matki bożej bolesnej! bo to widzicie! podniósł ten bogaty Polak ręce do nieba w tem samym miejscu, gdzie stoi ten kościółek i wołał: O Matko boża! ratujże mię od śmierci, a ja ci wyfunduję kościół z tego drzewa, co ludzie nałapią! a gdy to powiedział, to drzewo pomaleńku przyplnęło z nim do brzegu, o tu na prost od nas,

i ludzie go łap jak swego za ręce i wydobyli na brzeg drżącego jak liść a mokrego, że się lało z niego jak z konwi, i jak zaczęli się zwijać za drzewem, to wam wyłapali do jednego i tu na brzegu poskładali na kupy wielkie.

A Sobuń gazda aż się zmienił z uradowania wielkiego, że to się tak cudownie porobiło z tymi biedakami, i że ani jeden nie utonął za pomocą Matki bożej — pokiwał na to głową, westchnął do Boga i zapytał:

— A jakże, czy też dotrzymał tego ślubu ten bogaty Polak? bo ten kościółek to widać że nowy, a nie taki stary, jak się to porobiło wszystko?

A zakrystyan mówi:

— A jeszcze by co, żeby nie dotrzymał ślubu Matce bożej. Toć to dawni ludzie to pobożni i świątobliwi, aż strach dziś o tem mówić; bo co to dawni Polacy to nie takie łazęgi jak to dziś po wsiach chłopi; jak ci co obiecał zrobić dobrego to dokonał żebyś go szynami piekł i na kawałki porąbał a dla Boga i Matki bożej toby się był dał i sto razy umęczyć. Tak ci i ten kupiec ani kroku nie odstąpił, dopóki tu nie stanął drewniany kościółek, a dopiero potem pojechał sobie do Warszawy czy gdzie dalej jeszcze, to wie to sam Pan Bóg. Otóż widzicie! taki to był tu cud!

— A Sobuń gazda mówi:

— Toć przecie ten kościółek jest murowany, a wy mi gadacie, że był drewniany?

A zakrystyan rozsierdzony mówi prędko:

— Ot co wy pleciecie dobrego! Tamten kościółek drewniany, co go fundował ten bogaty Polak, to już zaginął i nie ma ani trzaseczki z niego, ta to stał on dobre 200 roczków tu na tem miejscu, ale grzeszni ludziska nie poratowali i tak też zmarniał, aż grzech o tem mówić.

A Sobuń gazda pytał:

— A to może wy teraz wyfundowali taki kościół, ale gdzieby tam tak było, to pewnie jaki pan dobry to zrobił?

A zakrystyan zaczerwienił się i gada:

— Ot trochę dali ludzie dalecy i panowie i xięża na ten kościół, a resztę zrobiła nasza cała parafia swojemi rękami

własnymi i to za daremniusieńko, nie wymawiając tego tej Matce bożej bolesnej, a teraz aż nam miło, że mamy taki cudowny kościółek i to daleko ładniejszy od starego.

A gazda Sobuń markotny na to, że też to nikt nie podbał o staropolski drewniany i cudowny kościółek, przemówił znowu:

— I jakże, czy to naprawdę dali zmarnować się temu cudownemu domowi bożemu?

A zakrystyan w ten sens odpowiedział:

— Jużci drzewo było grube i zdrowe jak pieniądz, były podwaliny dębowe, jak się patrzy, drzwi dębowe i okute z zamkami, ściany sosnowe, dach gontowy — ale to stało nie rok nie dwa, ale jakie sto lat obeszło, dach przegnił i lało się nie w jednym miejscu — a wy wiecie, jak gazda nie wylezie na dom i nie załata dziury, to dom zlezie sam na głowę twoją a potem się zawali. Tak i tu się porobiło niedobrze, aż kazali do reszty rozebrać i postawili sobie z tego poświęconego drzewa organistówkę koło fary. I został tu plac sam, aż smutno było na to popatrzeć. Zrobiło się potem markotno wszystkim, bo sobie też i popłakali nie raz, jak tu poschodzili się w niedzielę, a zawsze sobie miarkował każdy, że pomoc Matki bożej będzie niejednemu potrzebna, a jeżeli mógł to jeden postawić, to teraz jak się zabierze do tego jakie tysiąc razem, to mogą prędzej coś zrobić. I było dużo lamentów i gadaniny, a jakoś nikt nie śmiał zaczynać, bo się obawiał, aby się z niego nie śmiali drudzy.

A gazda Sobuń poderwał:

— Toż robić co dobrego, nie ma za to śmiechu, zaczynaj sobie człowiecze słaby i ubogi, co jeno wypadnie dobrego, i rób i rób, choćby ci palce i ręce ze skóry poobłaziły, a w końcu Bóg ci dopomoże i postawisz na swoim i zbawisz sam siebie i drugiego. Nic się nie zrobi nigdy samo, nawet złe robi się z ludzi złych. A znowu dobre przychodzi od Boga i od ludzi dobrych. A przecie tu była jakaś dusza pobożna, co się odważyła na to dobre.

A zakrystyan ciągnie dalej tak:

— A jużci była taka dobra dusza i to uboga i pobożna pa-nienka co sobie siedziała w mieście i uczyła nasze dzieci czy-

tania i pisania. Ona była nieraz u bogatej pani w Rozwadowie i tam zawsze z płaczem opowiadała, jak to ludzie nie dbali o chwałę bożą i zapominają na te święte miejsca, gdzie się dawno tyle cudów działo. Aż ta pani, której Bóg dał dużo pracy a nie dał jej dziatki, dał jej dużo chleba a ujął jej zdrowia potrzebnego, ta pani dobra zrobiła pierwszą ofiarę na ten murowany kościółek i patrzajcie! że była tak szczęśliwa godzina, bo odtąd dawali ludzie, co kto mógł i z wolą bożą postawili dom boży. Są tu na tym kościółku ofiary przeróżne: są i krajcarki panów i księży, mieszczan i urzędników, chłopów i sług, ba! nawet dzieci dawały swoje uskładane krajcarki, a ta pobożna paniątka zbierała i składała, a potem kupowała materyały, a ludzie z dziećmi robili tu koło kościółka za darmo po całych tygodniach.

A gazda Sobuń spytał się:

— A z kąd wy tu brali wodę na robotę, kiedy tu taka góra i piaski, a studni tu nie ma?

A zakrystyan gadał:

— A to widzicie, chodzili ludzie z konewkami ztąd z góry tam nadół do Sanu po wodę — a jak kto nabrał wody pełno, to sam laził nieraz na czterech nogach do góry, a konewkę trzymał zębami, a jak mu się nieraz konewka wyrwała, to sobie poszła nazad do wody i popłynęła z wodą, albo się na kawałeczki rozleciała — a wtedy było dużo płaczu i śmiechu; ale nosili ludziska wodę i pomagali, dopóki nie postawili na swoim.

A gazda Sobuń spytał znowu:

— A z kąd macie te obrazy w ołtarzach?

Na to powie mu zakrystyan:

— Ten obraz Matki bożej w wielkim ołtarzu jest starodawny, jeszcze z tamtego kościoła i to cudowny obraz; a znowu Pana Jezusa w Ogroju na drugim ołtarzu przysłał nam jeden pobożny Polak z Warszawy; a znowu tamten trzeci obraz na ołtarzu trzecim, to święta męczenniczka Felicyta i patronka tej pani z Rozwadowa, która się najpierwsza przyczyniła do fundacyi całej; a tam będzie ołtarz na pamiątkę,

jak pańszczyzna u nas ustała. A organy mamy z Krakowa naszego polskiego.

Gdy zakrystyan skończył opowiadanie, gazda Sobuń obzie-
rał wszystko dokumentnie, uklęknął i zmówił paciorek, a po-
tem dobył z kieszeni woreczek, podłubał coś w nim i mówi:

— Macie! i ja też ofiaruję te 5 papierków na światło do
wielkiego ołtarza, bo to pamiątka naszych dziadków Polaków
ten obraz święty — i my chłopci po wsiach powinniśmy takie
dawne pamiątki od polskich królów pilnować i nie marnować
i prosić tę Matkę bożą, aby się zmiłowała i nad naszą biedą
i nie dała nam tak zaginać, jak i tamci na wodzie nie zaginęli.

I wziął zakrystyan tę ofiarę, zapisał do złotej xiążki, a
gazda Sobuń poszedł na jarmark, poprzedał i pokupił sobie dro-
biazgi a potem opowiadał wszystkim o tym kościółku, którzy
jeszcze o nim nie słyszeli.

Skoczek, profesor z Gorlic.

Trzech archaniołów.

Archanioł Gabryel Najświętszej Paniecee
Zwiastował: Słowo, i w małej stajence
Powiła Syna, i chórem anieli
Pieśń mu śpiewali, a my go widzieli.
I do Betleem bieżeli pastérze,
Ze wszech stron świata brząkając na lirze,
I niosąc dary jakie Bóg przysporzył.

Przyszedł też jeden z za morskiej aż strony,
Witał: Niech będzie Chrystus pochwalony,
I dary swoje obok innych złożył:
I złożył chleba powszedniego kawał
I miodu plaster i grudkę też soli,
A rzekł: co Bóg dał, to ja będę dawał —
Tyle mam Panie z pasieki i z roli
I z ziemi mojej

A Mateńka boża

Rzeknie: a zkąd to Bóg prowadzi człeku? —
— Najświętsza Panno! jestem aż z za morza:
Na ziemi mojej podostatkiem chleba,

Tylko na ptasiem chyba braknie mleku —
Lud czerstwy, zdrowy — dostatkim swobody
A po krynicach jak lza czyste wody,
A i pięć dużych strumieni tam płynie —
Toć nie brak w niczem tej naszej krainie,
Toć i żelazo jest... a choć go nie wiele,
To nam wystarcza, bośmy nie do bitki,
Lubo i w boju potkamy się śmieie,
Ale nam bratem w Bogu lud wszytki,
Kto do nas przyjdzie, a powita w Bogu,
Ten już spokojnie uśnie w naszym progu;
Chlebem i solą z serca powitany,
Pozna co Słowian, co to są Polany.
Z żelaza tylko w pracy nam posługa,
Bo z ojców wiernie trzymamy się pługą.
Toż nie Panienko święta nam nie trzeba,
Prócz Twej opieki, łaski bożej nieba.

Słodko spojrziała Najświętsza Panienska
I przed dzieciątkiem najświętszem przykłęka,
A dziecię boże przemówi łagodnie:
— Witaj mi w Bogu, weź słowo pociechy,
Ja chcę pod wasze nizkie zstąpić strzechy,
Bo imię moje wy uczciecie godnie,
Boście w pokoju jęli Bogu służyć,
A jam budować przyszedł, a nie burzyć.

Lecz na żelazo nie krzyczcie zbyt hardo,
Bo jeszcze dolę wam przyjdzie znieść twardą,
Bo jeszcze ludy dzikie was nawiedzą.
I wy spokojni synowie swobody
Najcięższej w świecie doznacie niewoli,
I niewolnikiem pomiędzy narody
Zwać będą naród, co z chleba i soli
Słynie, a wiecznie z dawna strzeże pługą;
Ale w cierpieniu tem waszem zasługa.
Bom i ja cierpieć za was przyszedł wszystkich
Lecz nie padajcie na duchu — bo siłą
Ja was obdarzę, i matkę dam miłą,
Aby wam była królową — i zbytki
One stłumiła... i dwóch wam aniołów
Mych dam za stróżów: jednego mściciela,
Drugiego miru mego głosiciela.

Archanioł Michał będzie stróżem waszym
I Bóg nad rodem zlituje się Laszym —
Czarty pospycha co z nim walczą z wieka
A wtedy Rafał zstąpi do człowieka,
A słowa takie ogłosi wam boże,
I spokój, co świat dać nie może.
Tu rączką drobną święte ściągnęło dziecię
Nad głową cichą pasterza z nad Wisły,
A Matce bożej duże łzy wytrysły,
Niby dwie perły miłości i wiary
A potem strzelił wzrok cichy, spokojny,
Niby to promień nadziei, co w świecie
Spokój miał głosić — i koniec wszej wojny —
Koniec ofiary krwawej — koniec kary....
I odszedł pasterz zadumany, błądy
Do swej rodziny i do swej biesiady.

I długie lata przeszły potem w świecie
I tak się działo, jako boskie dziecię
Wyrzekło — bowiem przyszli obcy ludzie
I świat pracował w bardzo wielkim trudzie,
I powstał w domu brat naprzeciw brata,
I zabił matkę syn prawicą kata....
I ciężkie kaźnie Bóg zesłał i głody —
I brakło chleba, i brakło swobody —
Ale ufajmy obietnicy bożej,
Że on wszystkiemu raz koniec położy....
Najświętsza Panna w opiece nas trzyma;
Archanioł Michał jasnymi oczyma
Patrzy w zdumiałą strachem twarz szatana,
I będzie łaska boża ludziom dana.
O przyjdź Michale ziemi naszej strużu,
Bośmy strudzeni, krwawym złani potem,
Bo co nam święte to zbryzgane błotem.
I utonęliśmy w łez i krwi morzu....
Rdza nam żelazne serca żre i pali,
To oczyść z kału rdzy ogniem miłości,
Szatana ogniem bożym tchnij Michale —
A wnet wyblśnie blask bożej jasności,
I dzień nastanie, i ku bożej chwale
Wołać będziemy: przyjdź, o przyjdź Rafałe,
Zapał pochodnie braterskiej miłości,
Daj czas spokojny, swobody, wolności,

I zaśpiewamy, by na wysokości
Cześć była Bogu, a pokój na ziemi
Ludziom od pługa i chleba i soli
I wszelkim ziemskim ludom dobrej woli,
O święty, święty — ojców naszych Boże
Bądź między ludy pochwalon wszystkiemi
Niech nas Twa łaska najświętsza wspomóż,
Pokój i szczęście daj polskiej ziemi.

Dnia 17 maja 1861.

Wincenty Srokacz.

Przemądra lekarka.

Zimno było okrutne, wiatr zaciął deszczem ze śniegiem, późna jesień pokazywała swoją sztukę na dworze, a nieprzeliczone stada wron przeciągały po chmurnem i ciemnem niebie. Ścieszką przez łąki szedł Piotr, pałamarz Smerekowski do miasta. Oj bieda go wyгнаła z chaty na taki czas haniebny. Przewiesił kobiałkę przez plecy, ręce schował w kieszenie, i mrużąc oczy od wiatru i deszczu, spiesznym krokiem dążył ku gościńcowi. W chacie żona śmiertelnie chora leżała na pościeli, ogniska od kilku dni nikt nie rozdmuchał, na całym obejściu ubogiem tylko pies został tuląc się pod stożek słomy. Już od kilku tygodni pałamarzowa choruje mocno, a teraz wzięło ją najgorzej. Od kilku tygodni pałamarz sam kłopoce się wszystkiem, sam sobie jeść gotuje, a czego może urwać ze swojego ubożego gospodarstwa, to niesie do miasta, sprzedaje i kupuje za to chorej żonie to miejskich bułek, to wina czerwonego, to miodu, to jabłek parę. Ale chora jak nie zdrowieje, tak nie zdrowieje, nic jej nie smakuje, spuchła cała jak kłoda, obrócić się nie może. Co tylko doradziła jaka baba lekarka, to wszystko robiono, przywoził jej nawet mąż starego Kiczałę ze Soposzyna, co to sławny znachor, ale nic nie pomaga. O doktorze pałamarz i słyszeć nie chciał, mówiąc, że doktor dużo kosztuje a nic nie pomoże, a teraz gdy patrzył na żonę umierającą, toby już był i na doktora przystał, ale cóż umierającemu już doktor poradzi. Zasłyszał wreszcie biedny pałamarz o panu z Sulimowa, który wiele ludziom pomaga, żadnej

zapłaty nie bierze, i leczy jakiemiś drobniutkiami pigułkami białymi. Namysłiwszy się więc przez noc i do żywego rozżalony bolesnemi jękami swojej żony, wstał rano, zebrał się i niepytając na zawieruchę i biedę, poszedł do Sulimowa prosić dobrego pana aby się zmiłował i przyjechał ratować chorą żonę. Sąsiadka została przy chorej, a pałamarz dążył do Sulimowa, wzięwszy po drodze co sprzedać w miasteczku i kupić żonie jaki taki posiłek i zachłode.

Właśnie dochodził do gościńca, gdy coraz gwałtowniejszy deszcz się puścił i zmusił biedaka wstąpić na podsienie pierwszej karczmy, aby trochę przeczekać ulewę.

Na podsieniu stała jakaś kobieta nakryta chustką i widno także czekała aż deszcz ominie. Suknie na niej były trochę z miejska, twarz jeszcze nie stara, i dosyć zdrowo wyglądała — ale poznać było, że się puściła na lekki chleb i wypraszała u ludzi to co jeszcze zarobić mogła. Zobaczywszy naszego pałamarza zziębniętego i przemokłego, wdała się z nim w rozmowę i zaczęła wypytywać z kądem, gdzie i po co idzie. Pałamarz skłopotany opowiedział całą swą biedę, a na końcu na wpół z płaczem dodał:

— Żebym wiedział, że mojej żonie co pomoże, oddałbym cały majątek.

Nieznajoma kobieta słuchała go z uwagą, a na ostatnie słowa jego zaśmiała się, i robiąc mądrą bardzo minę rzekła:

— Żebym tak zdrowa była jakem już nieraz nie sto, wyleczyła takich chorych, co już im tylko trumnę gotowali, śmiać się z tego. Wszyscy doktorowie głupcy, nie nie wiedzą, a jabym wszystkich w kąć zagnała. Człowiek coś rozumie. Ale wy sobie idźcie do Sulimowa do pana, żebrajcie w sieniach żeby był łaskaw pojechać, a on was albo z niczem wyprawi, albo tyle pomoże kobiecie co umarłemu kadzidło. Czy ja go nie znam. Czy to ja nie wiem.

Gadała jeszcze dużo, ni to ni owo, a pałamarz słuchając jął tracić ochotę iść do Sulimowa, a natomiast podobała mu się mądra gadanina obcej kobiety, i dalejże zaczął ją prosić aby z nim szła do chorej żony. Z początku długo się dawała prosić doktorka, wążąc sobie wiele fatygę, drogę i czas stra-

cony, to znowu przysięgając, że ona swojego sposobu czy tam lekarstwa ani za 20 reńskich by nie sprzedała. Im więcej się drożyła, tem więcej chłop prosił, obiecując że ją wynagrodzi jak go tylko stać będzie. Nareszcie potraktował ją w karczmie piwem, miodem, za które oddał żydowi co niósł do miasta, i ledwie nieledwie uprosił lekarkę, że przyzwoliła z nim pójść do chorej żony. Pałamarz uszczęśliwiony, słuchał całą drogę jak mu opowiadała cuda o swoim doktorstwie, i zdało się biedakowi, że już wybawił żonę od śmierci.

Przyszedłszy do chaty, lekarka opatrzyła chorą, która słabym głosem prosiła aby ją ratować — i zaśmiała się znowu ze swoją mądrą miną.

— Za dziewięć dni będziecie tańcować — powiedziała.

Pałamarz aż zadrzał z radości i z wielkiem uszanowaniem dla lekarki zaczął znowu prosić, aby robiła wszystko co rozumie. Lekarka potargowała się jeszcze i nareszcie oświadczyła, że to z wielkiej dla nich łaski uczyni, że za 6 reńskich w srebrze podejmie się tego trudu. Pałamarz chciał coś powiedzieć skrobiąc się w głowę, ale lekarka panosząc się odrzekła, że jeżeli woli aby żona do grobu poszła, to ona się nie napiera. Tem go rozbroiła do reszty i przyrzekł wszystko co sama zechce. Lekarka więc dobyte z chuściny garstkę ziela które kazała zagotować, sama zaś położyła chorej na głowie białą chustkę złożoną z pieniędzmi które sobie dać kazała, i zaczęła odmawiać jakąś dziwną i długą modlitwę, którą za nią obecni w chacie powtarzać musieli, potem zamawiała, zażegnywała, spluwała i poziewała, potem okadziła chorą takim samem zielem, jakie się gotowało i nareszcie napić się jej dała. Po skończonej robocie która się dość długo ciągnęła, uraczyła się jeszcze doskonale, bo pałamarz co miał to stawiał przed nią, jaja, ser, masło, mleko, i wódkę zborgowaną z karczmy, a gdy przyszło do zapłaty, powyciągał gdzie tylko miał jaki grosz, jaki srebrny szóstaczek zachowany od dawna, a gdy niestało dużo jeszcze, biegał do sąsiadów, do żyda i napożyczał po trochę gdzie mógł, aż się zebrało 6 reńskich, które lekarka wzięwszy narzekając jeszcze, że gdyby nie miała względu na biednych,

nie robiłaby tego dla nikogo, i obładowawszy się jeszcze krupami i chlebem, kazała się odprowadzić do gościńca, zaręczając solennie, że za 9 dni pałamarzowa żona tańcować będzie.

We dwa tygodnie potem, w samą niedzielę adwentową pałamarz Piotr pochował żonę i jedyne ciele sprzedał, aby opłacić pogrzeb.

— Oj Piotrze, Piotrze — mówił w parę tygodni potem pan ze Sulimowa do spłakanego chłopca, gdy go tenże spotkawszy w mieście opowiadał swoje nieszczęście i przeklinał mądrą lekarkę — tak to wy zawsze robicie, żałujecie na doktora w początku choroby, a nie ufacie ludziom, którzy szczerze wam przychylni jak ja, a nieżałujecie na baby, znachory, którzy was tumanią, Pana Boga obrażają, a choremu jeśli nie zaszkodzą gorzej, to nic nie pomogą. Prawda, że komu Pan Bóg pozwoli wyzdrowieć to wyzdrowieje, a kogo podoba Mu się zabrać to umrze, ale Pan Bóg daje na to rozum człowiekowi aby się ratował godziwym sposobem, daje w rozmaitych ziołach lekarstwa na wszystkie choroby aby je człowiek miał ku swojej pomocy i od tych którzy się uczą i mozołą nad tą nauką, mógł je używać. Wszystkiemi czarami i zabobonami brzydzi się Pan Bóg i karze tych, co w nie wierzą, bo to grzech, bałwochwalstwo. Czas już abyście się ich wyrzekli jako dzieł czartowskich. Czas abyście już mieli rozum i nie powierzali zdrowie swoje i mienie chciwym szarlatanom. Komu niestać na lekarza, niech się uda do dworu, do xiędza, a tam go nigdy nie opuszczą, i albo dobrą radą albo wsparciem zasilą, a resztę miłosierdzie boskie dokona.

B. E.

M r ó w k i.

Pan Bóg urządził świat tak mądrze i pięknie, iż wszystko co się na nim znajduje, służy ludziom na pożytek i na naukę. Czasem zda się jakaś rzecz niepotrzebna, marna, ot niewarta nawet aby się nad nią zastanowić; zaś kiedy miły

człeku przypatrzysz się jej z bliska, kiedy sobie wszystko rozmiarkujesz dokumentnie, to wnet ujrzysz, że i w tej drobnej sprawie jest wielka, wszechmocna mądrość boska.

Nieszukając daleko przypomnij sobie miły bracie pierwsze lepsze mrowisko. Juźci to niby rzecz marna i nieciekawa, najbardziej kiedy czasami stąpisz na nie nogą albo niewidzący usadowisz się na takim mrowisku. Wtedy nieraz aż zaklnie człek na to paskudztwo, splunie z krzykiem i nawymyśla co nie miara. A to znowu także niestusznie, bo człek na to ma oczy i rozum, aby nie laźł i nie siadał gdzie niepotrzeba.

Tymczasem kiedy zamiast rozparpać nogą mrowisko przypatrzysz mu się uważnie i z rozumem, kiedy się zastanowisz nad niem dobrze, to aż cię dziw zbierze na ową cudowność, jaka się znajduje w tej prostej kupce ziemi, w owem niepozornem mrowisku.

Aby ci to łatwiej przyszło miły człeku, więc posłuchaj historyi o mrówkach i mrowiskach.

Każde mrowisko jest bardzo sztucznie i bardzo pięknie zbudowane. Ma ono mnóstwo bram, to jest małych dziurek, które mrówki przez dzień strzegą a na noc zamykają; ma także mnóstwo kurytarzy, które prowadzą do różnych większych i mniejszych komórek, co to niby izby porobione są w całym mrowisku. Jest tam także niezliczona ilość ścieżek, schodków i podpór, a całe mrowisko podzielone jest na wiele piąter, i tak pięknie zbudowane jak najpyszniejsze kamienice w mieście. Zaś i to dziwna rzecz, iż pomimo takich dziur i wchodów, całe mrowisko tak jest dobrze zbudowane, że największy deszcz je nie przemoczy i woda do środka nie dojdzie. Niechże takiej sztuki dokaże człowiek niejeden. Juźci łatwiej zbudować chałupę i dobrze ją zbudować, mając drzewo, wapno, glinę i wszystko co potrzeba; a przecież często znajdziesz u ludzi dziury w chałupach, któremi leje się woda na kark. Któż tedy wówczas zmyślniejszy, czy człowiek czy mrówka maleńka, która do swojej budowy ma tylko grudkę ziemi a żadnych innych narzędzi oprócz nóżek swoich?

Teraz znowu zastanowić się potrzeba nad poczciwością mrówek jako rodziców. Daj Boże aby wszyscy ludzie kochali dzieci swoje i tak je pielęgnowali jak mrówki swoje młode. Kiedy już po złożeniu jajek wyjdą z nich małe gąsienice czyli liszki, więc z wielką starannością trudnią się mrówki ich wyżywieniem i pielęgnowaniem, wynoszą je w dzień na słońce a na noc znowu do mrowiska znoszą. Poczwarzki te są białawe i okrągłe, a łatwo je zobaczyć kiedy mrowisko jest rozrzucone. Wtedy to dopiero krzątają się biedne mrówki, zbierają rozrzucone poczwarzki i znoszą je nazad do mrowiska, aby uchronić je od jakiego nieszczęścia. Żadna matka nie narazi się tak skoro dla swego dziecięcia, jak mrówka dla swej poczwarzki. Pamiętajcież przy tej sposobności, że owe białe poczwarzki nie są jajami mrówczemi ale już wylęglami poczwarzkami. Jaja mrówek są takie maleńkie i drobniutkie, jak ziarnka piasku, i ledwie dostrzedz je można.

Z tych poczwerek wylęgają się trojaki mrówki, to jest samce, samice i bezpłciowe. Samice i bezpłciowe mrówki mają żądła albo brodawki, z których sączy się ostra, kwaskowata ciecz, a ta nazywa się kwasem mrówczanym.

Z tego kwasu robi się spirytus mrówczany albo ocet, i tym sposobem mają ludzie pożytek. Zaś dla mrówek jest kwas ów bronią, i tak go one używają jak pszczoły żądeł. Kiedy na ludzkie ciało padnie ów kwas mrówczany, to sprawia czerwoną bolączkę, ale nie wielką.

Znowu poczwarzki mrówek są ulubionym pokarmem dla słowików, a w mrowiskach znajdujemy także mirrę, której się używa do kadzenia w kościołach. Toć wiecie, że na trzech Króli znoszą ludzie mirrę do święcenia, a to na pamiątkę onej mirry, którą niegdyś ofiarowali trzej królowie nowo narodzonemu Chrystusowi Panu. Mirra tutejsza składa się z okruszyn sosnowej żywicy, która przesiąknięta kwasem mrówczanym, w zapaleniu wydaje przyjemny i zdrowy zapach.

Insze jeszcze są pożytki z mrówek, i tak używają ich nieraz do wytopienia liszek, objadających kapustę. Wtedy zbiera się mrowiska po polach i lasach, i rozsypuje je po zagonach.

Prócz tego są mrówki jeszcze bardzo zmysłne i rozsądne zwierzątka. O ich pracowitości wie każdy, a już z tego jest nawet przysłowie: pracowity jak mrówka. Także i owe ma-
luśkie zwierzątka mają swoje zabawy i wojny, którym warta się dobre przypatrzeć, takie to ciekawe, a o których napiszę wam obszernie w przyszłym numerku.

R Ó Ż N O Ś C I.

List J. Mazurkiewicza. Do pi-
sarza Dzwonka także nadeszło pi-
sanie:

Niech będzie pochwalony Jezus
Chrystus!

Proszę umieścić w Dzwonku tych
kilka słów:

Nabożeństwo żalobne za poległych
braci w bitwie z Moskalami odprawiło
się d. 14 grudnia 1863 roku we wsi
Woli Zarzyckiej w powiecie Leżaj-
skim. Na zaproszenie miejscowego
księdza Stępina na to nabożeństwo,
tak się lud wiejski licznie zgroma-
dził, że aż w kościele ciżba była.
Zaś podczas exekwii, na każde we-
zwanie, na Ojczyznę naszą za wszystkich
poległych braci naszych, tak się lud
wiejski modlił nabożnie klęcząc, że

w oczach lzy widać było. W czasie
nabożeństwa paliło się światło cehowe.
Katafalk pięknie był ubrany, co było
świec, wszystkie z bukietami, a dziew-
częta wiejskie przyniosły ruty zie-
lonej, nawily wieńców i poprzypinały
do katafalku. Po kondukcie i po
Salve Regina miejscowy organista
zaintonował hymn nasz święty do
Pana Boga za wiarę i ojczyznę, a
za nim gospodarze tameczni śpie-
wali, Zwłaszcza. Walenia, Smarzeniec,
Sobota i inni, także dziewczęta, i
tak chwalebnie zakończyło się nabo-
żeństwo.

Wola Zarzycka dnia 22 sty-
cznia 1863 roku

J. Mazurkiewicz organista.

P r z y p o w i e ś ć.

Ani w radzie,
Ni w gromadzie
Nigdy człeku nie osądzisz,
Bo gromada daje hart;
Lecz chcesz wiedzieć co jest wart,

Staw samego, a nie zbłądzisz;
Jeśli próby sam dotrzyma,
To go w obec wroga staw —
A kto stanie i tam praw,
Dla tego już próby niema.